



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

ERSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 8; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

W MAJESTACIE ŚMIERCI.

Śmierci! o jakże dziwne rzucasz czary
Na tych, co od nas idą w kraj daleki—
Gdy już nad nimi mrok zapadnie szary
I na sen wieczny zamknie im powieki,
Ty ich przystrajasz w tajemne uroki,
Kładąc na ustach czar ciszy głębokiej.

Słońce, gdy zachód już zwolna je chowa,
Rzuca na ziemię pół barwy, pół-cienia,
Tęskne i rzewne, jak rozstania słowa;
Grą cudną światel ziemię rozpromienia
I zwolna w czarną otula zasłonę
Pola, w modlitwie ciszy pogrążone.

Tak, kiedy życie już schyla powoli
Stygnące czoło nad człowieczą twarzą,
Drżą na niej blaski cudnej aureoli
I gasną w cieniach, co w tęsknocie marzą,
I szepce modły ten majestat ciszy,
Co tylko słowa pożegnania słyszy.

A, choć wieczności już zamkną się wrota,
I grób twarz martwą w swej ciemni pochłonie,
Widzi ją jeszcze serdeczna tęsknota
W gasnących blasków przejrzystej osłonie,
Widzi, jak niknie w nicości mgłę szarej,
Śląc nam z za grobu tajemnicze czary...

Antoni Piłeccki.

KĘDY DROGA?

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

Wandę Grot-Bęczkowską.

(Dalszy ciąg).

XI.

Nazajutrz po balu, w buduarze Amelki zebrały się panny na pogawędkę.

Cesia rozmarzona, z okiem przyćmionem wzruszeniem, słuchała szczebiotu Janiny i poważniejszych uwag Amelki, rzadko się sama odzywając.

Bal, pierwszy w życiu, upoił ją.

Wrażliwa jej natura rozkoszowała się wspomnieniem całej tej wytwornej, rozbudzającej zmysły atmosfery balowej, a jednocześnie potęgował się w jej sercu żal, że w małej cząstce tylko uczestniczyć w zabawie mogła. „Cesia nie może tańcować nie prócz kontredansa“ zapowiedziała p. Żeliszewska, i dziewczę musiało się do tego zastosować. Widziała przytem w koło siebie, piękne, kwitnące zdrowiem dziewczyny, jak różnobarwne motylki fruujące po sali w objęciu mężczyzn, widziała, towarzyszące im spojrzenia zachwyty, słyszała komplementy, słodyczą zaprawne słówka i w duszy powstawał żal, gorzej, bo jakaś skłonność buntownicza, która nie po raz pierwszy nękała jej umysł.

Wyobrażenia z natury bujna i wrażeń chciwa, na tej kanwie balowej haftować zaczęła coraz piękniejsze, barwniejsze obrazy; dziewczę zapominało chwilowo, że, rozżarzać ją niebezpiecznie, że nie

w dźwiękach orkiestry balowej, nie w słodkim szepcie przelotnego zachwyty, szukać należy harmonii ducha i rozkoszy czystej.

Mimowoli zwracając wzrok zazdrosny na kwitnące rumieńcami twarze przyjaciółek, tłumiała westchnienie, które przecież Amelka odgadła.

— Dzieciatko zmęczone?— spytała, obejmując ją ramieniem.

Sarkastyczny uśmiech oszpecił twarz Cecylii.

— Po czym?— spytała drwiąco.— Nie tańczyłam weale; przed północą jeszcze zapakowała mnie stryjenka do łóżka.

Amelka przyglądała jej się bacznie. Ciemne koła okalające wielkie, błękitne oczy i cera bledsza niż zazwyczaj, przekonywały, że mimo troskliwości stryjenki, sen dalekim był od jej powiek.

— Wiesz Cesi, ty jesteś męczennicą!— zawołała z przejęciem Janina.— Nie wytrzymałabym w takiej kurateli.

— Ja już sama nie wiem doprawdy, czemu wierzyć,— skarżyła się Cesia.— Czym ja istotnie taka chora i zagrożona temi wszystkimi defektami, o których stryjenka co chwila wspomina?

— Boś prawdziwe dziecko!— odparła oburzona Janina.— Żeby też nie otrząsać się, nie zrzucić z siebie tych kajdan, nie zawołać wielkim głosem: precz kakao, precz flanela, nianki i powijaki! Jeść chcę, biegać, używać powietrza, słońca, ruchul! Al to jest zabójstwo samej siebie, gwałt uczyniony na wszystkich, najdrobniejszych a przecież ważnych, przyjemnościach życia. Wstydz się Cesi! Ślamazarna jesteś, nieradna!

Cecylia mimowolnie się rozśmiała.

— A to wymował powinnaś adwokatem zostać, Janiu!— rzekła.

— I to dla przyjemności czyjejs, dla fantazyi, głupoty wyrzekać się zabawy!— dowodziła Janina.— To takżel! A przyznacie chyba, że bal był prześliczny! Wytańczyłam się i nasłuchałam komplementów! Przeształyscie już chyba troszczyć się

o męża dla mnie, moje panny! Wielbiciele miałam bez liczby!

— Szczęśliwa! — szepnęła smutno Cecylia.

— Cóż ty, dzieciątko, szczęściem nazywasz? Zachwyty wyperfumowanych fraków? — rozśmiała się szyderczo Janina. — Droga! Zastanów się! Każde ich słowo to bańka mydlana, każde czulsze spojrzenie to zapowiedź szeregu fałszów, jakie spełniać będą wbrew temu, co obiecują. Nie masz do czego wdychać, Ciesiu, doprawdy!

Doktor Dembiński i hrabia Brunon są bardzo sympatyczni! — ozwała się Cesia. — Nie zaliczasz ich chyba do rzędu wyperfumowanych fraków?

Janina zamysliła się.

— Co do hrabiego — rzekła po chwili zwracając się do siostry, — zdaje mi się, że mama pomyliła się w sądzie o nim. Hrabia, mimo wad, posiada pierwiastek szlachetny. Uważałam naprzykład, że przekonani swoich nigdy nie ze strachu przed ludźmi nie zaprzę. Za to go szanuję! Jakim jest, takim się przedstawia. Umysł to zresztą ogarniający szersze horyzonty, tylko brak mu czegoś, podstawy moralnej, czy może wiary w ideał piękna i dobra? sama nie wiem doprawdy, jak to określić. W słowach jego jest czasem ciepło, nuta tkliwości serdecznej dla niedoli...

— Dostyć, dostyć Janino! — przerwała, śmiejąc się Amelka. — A toś go wyidealizowała? Biedny hrabia nie poznałby sam siebie w tej godowej szacie...

Cecylia słuchała z rumieńcami na twarzy podniecona, wzruszona. Po chwili zerwała się i do zwierciadła pobiegła. Jaka drobna, niska postać! Jakie pospolite rysy, bez wdzięku, bez tego czegoś co wzrok pociąga i kobietę, choć nie piękną, miłą dla oka czyni. Zapomniała, że twarz jest odbiciem uczuć, że wyraz jej, od nich jedynie zależy. Ona miała teraz serce przepelnione goryczą, zazdrością, więc i łagodne zwykle oczy zmącone były i ponuro błyszczały; pobladała cera, zaciskały się bółem usta. Wdzięk słodki, dziecięcy zniknął w danej chwili, lecz ona nie badała przyczyny. Oddychała szybko, gorączkowo, aż nagle wybuchnęła płaczem ciężkim, z głębi zbolalej duszy płynącym.

Dziewczęta porwały się przestraszone; pytania cisnęły im się na usta.

— Wstydzę się, doprawdy! — mówiła wśród łkań Cecylia, kryjąc spłakaną twarz na piersi Amelki. — Ale jestem wciąż podrażniona; a życie takie czeze, bezece! Nie możecie pojąć nawet, do jakiego stopnia, unieszczęśliwia mnie opieka stryjenki i myśl, że długi szereg lat przeżyć jeszcze mogę, obwijana w powijaki, przepojona kakaową polewką i żółcią, która się we mnie gromadzi. Są chwile, kiedy cała natura moja wstrząsa się i czuję, że ciężaru takiego życia długo nieś nie potrafię.

— Ciesiu, najdroższa! — zawołała rozrzuwiona Amelka. — To się wszystko zmieni, zobaczysz! Gdyby tylko stryjenka pozwoliła ci zostać u nas...

Cecylia westchnęła.

— Ona się nigdy na to nie zgodzi... — szepnęła. — A zresztą, czyż przypuszczasz, że i tu czułabym się szczęśliwą? Znam serca wasze, a jednak myśl, że jestem na łasce, zatrząłaby mi chwilę każdą.

— Więc pracuj, pracuj najdroższa! — zawołała z przejęciem Amelka. — Jedyne nieszczęście człowieka stanowi niemożność pracowania, wierzaj mi dziecko! Wszystko zniknie i szczęście i nieszczęście w nicosć się rozwieje, oprócz tego, cośmy po sobie zostawili. Praca da ci zapomnienie, ukojenie wewnętrzne, rozkosz cicha, lecz stała.

Cecylia uśmiechnęła się z goryczą.

— Najnędniejszy człowiek nie oprze się myśli, że i jemu, odrobina, cząsteczka jakaś szczęścia osobistego się należy, — ozwała się smutno, — zwłaszcza też kobieta! Wesprzeć znużoną głowę na ramieniu ukochanego męża, przytulić dzieciątko do serca, posiadać kącik maleńki, lecz własny, to są rozkosze, których praca, z zamiłowaniem nawet podjęta, nie wynagrodzi. Nie smuć się! — dodała, spostrzegłszy zwrócone ku sobie zażawione oczy Amelki. — Duch się wypali szybko i pozostaną żuźle w zimnym popiele... Brak mi już wiary, nadziei, miłości ode mnie ucieka... Po co żyć?

— Więc pogrzebałaś wszystkie ideały? — spytała Janina.

— Nic nie zastąpi tego, do czego, jak już powiedziałam, każde serce ludzkie tęsknić ma prawo, — odparła smętnie.

— Doprowadzasz mnie do desperacji, Ciesiu, — zawołała Amelka. — Ależ ty jesteś krańcową egoistką. Marzysz o miłości dla jednostki, a ta wielka miłość, która zasadniczą być powinna, która ogół cały obejmuje i z tyłu ogniw się składa, jest ci zupełnie obojętna? Czyż ta, serca nie wypełni, dając mu ogrom rozkoszy najczystszych? Dorzucić egiptkę do jakiejś wznoszącej się budowy, wyrwać z objęć występku nieszczęśliwą ofiarę, chorą duszę słodkim słowem pokrzepić, czy to nie wystarczy do szczęścia?

— A tobie by wystarczyło? — rzuciła pytanie Cesia, bystro się w twarz przyjaciółki wpatrując.

Amelka spłonęła rumieńcem. Szlachetną postać Dembińskiego ujrzawszy nagle w wyobraźni, zawałała się...

Krótko to jednak trwało.

— Kochanie moje! — zaczęła mówić wolno, jak gdyby namysławiając się nad każdym słowem — nawet wówczas gdybym miłości mojej na rzecz tamtej, społeczeństwo ogarniającej, wyrzec się musiała, czułabym szczęście w poczuciu spełnionego obowiązku...

— Piękna teoria! — zadrwiła Janina. — Jestem zbudowana! Kiedyś ty o tem wszystkim miałaś czas myśleć, Amelciu? Mistyczny jakiś pogląd, który się ziemi nie trzyma, — dodała, śmiejąc się i uciekając z oczyma przed poważnym spojrzeniem Amelki. — Pokojówka Józia przerwała rozmowę.

— Jasnie pani na herbatę prosi — rzekła, wchodząc. Panny porwały się z miejsc szybko.

— Jak ja wyglądam! — mówiła zdesperowana Cecylia. — Niepodobna pokazać się tak między ludźmi. Niechoby stryjenka poznała, żem płakała, nie obeszło by się bez wybuchu!

— Przemij oży lekko wodą kolońską, — zaproponowała Amelka. — Ale przedewszystkiem, rozjaśnij twarz... Smutnie wyglądasz!

A Janina ze zwykłą pustotą dodała:

— Rozkliwiz hrabiego. Już dziś przy rannem śniadaniu, pytał mnie o ciebie.

— Ty zawsze lubisz żartować, Janiu! — szepnęła z rumieńcem Cecylia.

— Wierzaj mi, prawdę mówię! Powiem nawet więcej... Hrabia unosił się nad czystym błękitem twoich oczu i chwalił głos dźwięczny i słodki... To było uczucie.

Cecylia długą chwilę stała przed lustrem. W smutnych jej oczach zapaliło się łagodne światło i lekki rumieniec ożywił cerę.

Drżącą nieco ręką poprawiała kokardy u stanika i z niezwykłą starannością zaczesywała włosy.

W salonie p. Żeliszewska z miną wielce strapioną opowiadała hrabiemu o niepokoju, przesładowanym ja dniami i nocą z powodu chorobliwego wyglądu Cecylii i gdy ta się ukazała, wzrok Brunona pobiegł ku niej z tkliwością serdeczną.

Biedna, wątła roślinka! — myślał, obejmując okiem drobne kształty i smętną twarz dziewczynki. I zaraz potem zbliżył się do Cecylii.

— Stryjenka znajduje się w bezastanej trwodze o panią, — rzekł. — Powinnaś pani dłużej pozostać w Zarzeczcu. Zbawienny wpływ wywiera na każdego tutejsze powietrze. Biorę przykład chociażby z siebie. Przyjechałem tu zgorzkniały, znużony, tymczasem teraz świat wydaje mi się znośnym, życie nabrało wartości...

Mówił do Cecylii, a patrzył na siedzącą obok niej Amelkę wzrokiem aż nadto wymownym.

Jak on się zmienił od pewnego czasu! Z uroku, jaki rzuciła na niego Amelka, nie tylko nie otrząsnął się dotąd, ale przeciwnie, poddawał mu się niewolniczo.

Dobrze mu było w tej krainie marzeń ezarodziejskich, których słodycz zatrutą wehłaniał w siebie z rozkoszą i upajał się nią, jak inni upajają się narkotykiem.

Łagodny jej spokój sprawiał, że szyderstwo i niewiara milkły zwolna w niespokojnym, buntującym się jego umyśle. Wstydził się w obec jej charakteru pełnego prostoty, prawdy i czystości dziewczęcej, przeszłości swojej, oddanej używaniu, które ku przepaści ostatecznego zepsucia pociągało go wielokrotnie.

Od kiedy zaczął wchodzić w układy ze swoim sumieniem, wszystkie winy względem siebie, rodziny swojej i społeczeństwa popełnione, prześladować go zaczęły wspomnieniami. Pogrzebać je pra-

gnął, ale sam to czuł, że oddzielały go od ukochanej dziewczyny murem nigdy nie przebyłym. Bywały chwile, kiedy zdawało mu się świętokradztwem pożądać tego wytwornego kwiatu, stworzonego jedynie do oddychania czystą i świeżą atmosferą, do przebywania w krainie najczystszych ideałów. Jakże by on śmiał tylokrotnie zbrukanem uczuciem zakłócić harmonię tej pięknej duszy? Nie miał jednak dość mocy nad sobą, aby się od niej oderwać.

— Dobrze tu jest każdemu, p. Cecyliu! — powtórzył, nie mogąc opanować pewnego wzruszenia jakie opanowywało go zwykle, gdy patrzył na Amelkę. — Tak dobrze, że radziłbym pani, pozostać w Zarzeczcu. Zwiedziłibyśmy malownicze brzegi Wisły, towarzyszyłibyśmy p. Amelii w jej filantropijnych wycieczkach.

Oczy Cecylii promieniały zachwytem

— O! jabym pragnęła zostać! — szepnęła. — Czy pan długo zabawi w Zarzeczcu? — spytała, rumieniąc się i odwróciła się szybko, by Amelka zmieszania jej nie dostrzegła.

Hrabia się rozśmiał.

— Dopóki mnie gościnność pp. Krasnohorskich zatrzyma zechce — odparł. — Ale jakże się paniom bał wczorajszy podobal? Dembiński ślicznie tańczy... Nieprawdaż p. Janino? — zwrócił się do spacerującej po salonie Janiny.

Wzruszyła obojętnie ramionami.

— Być może! Nie zwróciłam uwagi.

— P. Janina jest zawzięta nieprzyjaciółką płci brzydkiej — mówił żartobliwie hrabia. — Ciekawą jest rzeczą, zkąd ta niechęć powstała?

— Z rozwiniętych dość wczesnie zdolności psychologicznych, p. hrabio, — odparła niedbale. — Badałam, analizuję...

— Szukam ideałów... — podchwycił hrabia.

— Tak. A znajduję...

— Cóż? Dokończ pani, na Boga! — pytał, udając przerażonego, hrabia.

— Puste głowy i zimne serca! — odparła bez wahania Janina.

Hrabia wybuchnął śmiechem.

— O! nieporównana szczeroci! — mówił rozbawiony. — Brawo, brawo! Co za śmiałość poglądów, jaki sąd wytrawny! Czy i panie podzielają zapatrywania p. Janiny? — zwrócił się z pytaniem, do Cecylii i Amelki. — Biedni my jesteście, nieprawdaż?

— Istotnie! — potwierdziła Janina. — Pan hrabia przyznać musisz, że albo jesteście biednymi, pospolitymi, z zacieśnionymi pojęciami ludźmi, lub znacie jedno tylko prawo: prawo namiętności...

— Janiu! — wykrzyknęła oburzona Amelka.

Cecylia patrzyła na nią zdumiona.

— Cóż was tak przeraziło? — żartowała swobodnie Janina. — Czy powiedziałam coś nadzwyczajnego? Każda z nas zresztą tworzy sobie odrębne pojęcia. Amelka widzi wszystkich łagodnymi, dobrymi, Cesia też wierzy w czyste jak łąza dziecka ideały pomiędzy mężczyznami, a tymczasem ja szukam człowieka, który umiałby być srogim dla samego siebie, potrafiłby łamać naturę swoją i brać obowiązki choćby najcięższe i najtrudniejsze. Hart ducha zachwyca mnie.

— Ten moralny rysopis przypomina mi kogoś z naszych wspólnych znajomych; — rzekł hrabia z filuternym uśmiechem.

Teraz przyszła kolej rumieńców na Janinę.

Zarumieniona, na krótką chwilę spuściła iskrzące zapałem oczy.

Za żadne skarby świata nie przyznałaby się do tego, że domyśliła się, o kim hrabia mówi. Ku wielkiemu jej zadowoleniu wszakże, p. Żeliszewska przerwała rozmowę, zatrwożona o Ciesię.

— Masz jakieś nienaturalne rumieńce, drogie dziecko — pytała, dotykając policzków Cesi. — Przedewszystkiem pamiętaj, że każde żywsze uczucie sprowadza ci bicie serca...

— Ależ doprawdy, stryjenko, ja nie o tem nie wiem! — broniła się zaambarasowana Cecylia. — Dziś zresztą czuję się lepiej niż kiedykolwiek.

— Cesia wmawia w siebie chorobę... — odezwała się rezolutnie Janina.

P. Żeliszewska spojrzała na nią zdumiona.

— Cesia jest bardzo wątła i delikatna, — rzekła dobitnie. — Byle drobnostka jej zaszkozi...

— To imaginacja jej szkodzi i w tem się całe złe ukrywa — wtrąciła Janina.

P. Żeliszewska spojrzała na nią zdumiona.

— Cesia imaginuje? Cesia wzmówiła w siebie chorobę?—powtarzała, wzruszając ramionami.—Co też to wygaduje ta piękna o żywych rumieńcach panna, której siły fizyczne rozwinęły się widocznie ze szkoda umysłowych.

— Cesia bardzo chorowała w dzieciństwie,—odezwiała się głośno, tłumiąc rozdrażnienie.—I ta to smutna przeszłość właśnie zmusza ją do nieustannej pielęgnacji swojego zdrowia, do troskliwości niemal drobiazgowej...

Janina z wybuchem szczerej wesołości objęła przyjaciółkę.

— Już jabym ją wyleczyła rychło,—zawołała.—Mniej baczności, mniej właśnie owej drobiazgowej troskliwości, a skutek byłby przedziwny. Cesia, upewniam panią, miałyby rumieńce i apetyt, jak pierwsza lepsza dziewczyna z folwarku.

— Janiu!—przerwała napominająco Krasnohorska.—Nie uczyłaś się chyba na pensji medycyny? Zkądże pewność taka i śmiałość, narzucania innym swoich poglądów?

— A jednak mam słuszość, maceczko! Czy kwiat, zamknięty w dusznej atmosferze pokojowej, rozwinię się bujnie i prawidłowo?

P. Zeliszewska uczyła się obrażoną.

— Młode panny w każdej kwestyi teraz głos zabierają,—rzekła, kwaśno się uśmiechając.—Cesia na szczęście, nie lubi frazeologii. Bardzo to przykra rzecz, brak zdrowia! Nie szczydziłszyśmy trudu i kosztu, aby je podtrzymać, ale po matce pozostała Cesi smutna spuścizna: choroba piersiowa.

Ręka Cecylii, wsparta na ramieniu Amelki, mocno drgnęła.

— Wyrok na mnie podpisany oddawna,—szepnęła.

— Nie przypuszczam, abys pani wierzyła w jakąś dziedziczość,—odezwał się życzliwie hrabia.—Można ją zwalczyć zawsze z pomocą umiejętnie przeprowadzonej kuracji. A przedewszystkiem, nie należy poddawać się smutnym myślom... Spokój moralny, dobrze zabartowane nerwy, to główna podstawa zdrowia. P. Cecyli! pozostaw pani w Zarzeczcu, a skutki osiągniemy z tego stokroć lepsze!

Ach, jak onby rad sprawić przyjemność Amelce, zyskać miłe słówko podzięk, lub serdeczniejsze spojrzenie.

P. Zeliszewska atoli wnet nadzieje jego rozwiła.

— Powiozę Cesię do Berlina—rzekła.—Jest tam podobno znakomitość jakaś... Mamy obowiązek czuwania nad sierotą—dodała sentencyonalnie.—Ani ja, ani mąż mój nie szczydziśmy trudu ani kosztu... drogie to dziecko nie i nikogo nie posiada.

Cecylia zarumieniła się upokorzona.

Hrabia z trudnością gniew hamował.

— Więc pani stanowczo sprzeciwia się jedyemu, radykalnemu środkowi uzdrowienia i rozveselenia p. Cecylii?—spytał raz jeszcze, o ile mógł najuprzejmiej.—Niech pani zrobi próbę!

P. Zeliszewska chwiała głową z powątpiewaniem.

— Lękam się!...—usprawiedliwiała się ze zwykłym brakiem logiki i uporem, którego ani mąż, ani żaden ze śmiertelników, przełamać dotąd nie potrafił.—Cesia, jak małe dziecko, potrzebuje starania i opieki. Nikt zresztą nie potrafiłby zająć się nią z taką troskliwością i—że się tak wyrażę—z matematyczną ścisłością. Trzeba się tak poświęcić, jak ja się poświęciłam dla tej sierotki!

Nie pomogły przekładania i prośby.

XII.

Nadszedł Październik, z nim słoty i deszcze. Zarzeczce utraciło wesołe barwy; mimo to, p. Helena z córkami bawiła na wsi, oddalając dzień wyjazdu, o ile się tylko dało.

Dogadzała w tem i swoim upodobaniom i prośbom Amelki, która plany w czyn wprowadzać zaczęła.

Janina, aczkolwiek nie omieszkała opowiadać każdemu, że ja pobyt na wsi nudzi, że ludzie są źli i niewdzięczni i trudzić się dla nich nie warto, pomagała jednak siostrze gorliwie.

Pomiędzy budynkami dworskimi, znalazła się na uboczu stojąca chata, którą na szkołę przeznaczono,

Budynek był stary, zrujnowany, więc roboty reparacyjne wnet rozpoczęto, by przed zimą skończyć.

— Dzieci najwięcej w zimie próżnują—mówiła Amelka, godzinami całymi dysputując z matką o tem, co zrobić, by rychlej urzeczywistnić swoje pragnienia.

— Ciekawam, jak ty sobie dasz radę?—odzywała się nieraz z powątpiewaniem Janina.—Dzieci te przesiąkły prawie wstrętem do pracy od najrańszych chwil życia. Trudny to będzie początek!

Amelka uśmiechała się pogodnie.

— Jakoś to będzie!—odpowiadała.

I tak dzień za dniem mijał, poświęcany pracy, odwiedzaniu chorych i ubogich we wsi; Amelka starała się o pozwolenie otwarcia szkoły, szukała odpowiedniej nauczycielki, a ludzie się dziwili, przyglądali z nieufnością i niechęcią.

Bywało i tak, że spotkała ją nieraz nieprzyjemność, ktoś ostrem, lub brutalnym słowem dotknął delikatnych uczuć dziewczyny, w okolicy okrzyczano ją za emancypantkę, w innym wprawdzie rodzaju niż p. Małska, ale w niebezpieczniejszym.

— Słyszane bo rzeczy!—perorował dziedzic Górrek—żeby panny dobrze wychowane tak się kompromitowały! Włóczą się po wsi, zaglądają do chałup, bańki, słyszą, własnymi rękoma babom stawiają, niby felezerzy... W głowach im się poplątało, oczywiście! I po co to wszystko? Chyba po to, aby chłop, to zwierze nędzne, więcej się jeszcze rozzechwalał. Co on sobie myśli? Boją się widzieć, łaski jego potrzebują, skoro go tak pieszczą!... Ta emancypacja niezadługo cały porządek świata do góry wywróci.

Amelka nie zniechęcała się jednakże wiedząc, że każda zaniedbana droga z mozołem torować potrzeba. Dopomagała jej do tego tęgość woli i cierpliwość, która jest każdego dziecia największą podstawą, pocieszała się nadzieją, że przewrót w głęboko zakorzenionych pojęciach ludu musi dokonywać się powoli, że dziecko, w jakiej bądź urodzone sferze, w rękach wychowawców jest posłusznym materiałem, z którego wszystko uczynić można.

Więc dobroczynny wpływ począł kiełkować bardzo powoli, mimo wielorakich nieprzyjaznych okoliczności i aż nadto widocznej niechęci chłopów ku wszelkim ulepszeniom.

Dnia pewnego, Gwiazda stawił się w pałacu.

Wyszła do niego Amelka, bo prezes bawił w Warszawie i spytała, czegoby potrzebował. Dzieci jego od śmierci matki pozostawały pod jej opieką; mieszkały w oficyynie, a tymczasem malarz dworski, z polecenia Amelki, bielił i naprawiał zrujnowaną chatę.

Zuchwała mina chłopca zadziwiła ją.

— Co powiecie, Gwiazdo?—spytała.

Chłop się pokłonił.

— Ino wedle dzieci przyszedłem, proszę jasnej panienki—rzekł.

— A o cóż wam chodzi?

— Ludziska się dziwują, proszę jasnej panienki—zaczął chłop odważnie—żem ja, nie przymierzając, taki głupi i oddałem dzieciska dworowi. Taka Hanka albo i Waluś mogliby już coś w gospodarskiem obrządzeniu zrobić.

— Cóż naprzykład? Bo o ile wiem, zaraz po śmierci żony sprzedaliście i prosiaka i kury; a więcej nie macie!—rzekła tłumiąc odrazę Amelka.

— Moje było, to sprzedałem!—mruknął chłop niechętnie.—Kury nieść przestały, bo nie było czem żywić; ziarna w stodole, aby ino kapka do siewu. Jakem służył w Daszewie, to dwór ziarna nie żałował a i kartofli było sporo, to się prosięcinę wyżywiło. Ale tu...

— Czemuż nie przyszlście do dworu?

— Etl!—rzucił ręką chłop.—Człowiek przecie śmiałości niema... A jakby dwór chciał dać, to by sam dał...

— Głupstwo powiedzieliście—odezwiała się, Amelka.—Dwór chyba nie może posyłać do każd-j chaty z zapytaniem, czy nie potrzebujecie czego? Ale o co wam chodzi? Mówcie prędko!

Gwiazda się w ucho poskrobał.

— Toć jenó o to, proszę jasnej panienki, żeby dwór za Hanusię i za Walka zapłacił,—rzekł bezczelnie.—Te małe niechby tam już bez dopłaty były... Człowiek przecie, musi na to bestyjstwo pracować...

Amelka... ała na niego zdumiona.

— Nie nie rozumiem—rzekła.—Więc wy chcecie, aby wam dwór płacił za to, że dzieciom waszym jeśé daje, odziewa je i uczy?

Gwiazda głową skinął.

— Akuratnie tak, proszę panienki—odparł.—Sprawiedliwie mówiąc, krzywda mi się dzieje... We wsi się śmieją, bo któryby to ojciec taki głupi był, żeby dzieci dworowi oddał... Już bym z nich wy-rękę miał...

— Przecież nie mieliście ich czem żywić!—zawołała oburzona Amelka.—Samopas biegały po wsi i po polu, bez koszuliny prawie na grzbiecie.

— Juści prawda!—mruknął chłop.—Jak kobiety w hacie niema, to i porządku nijakiego nie może być. Ale zawsze to nie pięknie, że dwór biednego chłopca krzywdzi.

— Gdzież tu krzywda?—spytała Amelka.—Dzieci mają opiekę i wszystko co im potrzeba. Walka chciałem oddać do terminu, Hanusia nauczy się szyć, a i o młodszych później pomyślę.

— Ja tam za te wszystkie dobrodziejstwa dziękuję!—odezwał się chłop zuchwale.—Jak dwór zapłacić nie chce, to niech mi odda dzieci i tyła.

Niepodobna było z nim dysputować; dość było spojrzeć na tę twarz bezmyślną, noszącą piętno wieloletnich trudów i przecierpianego niedostatku.

Zamiast unieść się gniewem, pomyślała tylko, że ta walka bezwzględna o byt, która się toczy dokoła nas, sprawia, że jeden od drugiego więcej pragnie zagarnąć korzyści, tracąc w niej częstokroć serce i sumienie. Co jednak począć? Oddać dzieci, to skazać je na niedolę ostatnią, która, kto wie, czy ich do występku nie zaprowadzi. Płacić znów ojcu za dobrodziejstwa, dzieciom czynione, to otworzyć mu łatwą drogę wyzysku.

— Rozmówię się z panem—rzekła wreszcie.—A wam powiadam, że żądanie wasze jest niesumienne. Ojciec mój z pewnością na taki handel dziećmi się nie zgodzi.

Po odejściu Gwiazdy, Amelka wybiegła do ogrodu. Nie chciała spotkać się teraz z nikim. Odkryto znowu przed nią brzydka stronę natury ludzkiej i trzeba było przetrwać w sobie wstręt, jaki sprawiło jej to odkrycie.

Łagodnie światło pięknego zachodu słońca, bladobłękitną barwą oblało park i jezioro. Ostatni to już był uśmiech odchodzącego lata i miał w sobie dziwny smutek, który przejął duszę dziewczyny.

— Jakże lichym zlepkiem brudnych namiętności jest ten człowiek i czy wszystkie dążności ku ulepszeniu spotykają na drodze podobne zapory?—myślała, przechadzając się po pięknej topolowej alei, do połowy już z liści ogołoczonej

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Poranek na korzyść rodziny s. p. Adolfa Ostrowskiego. — „Mankiet.“ Edwarda Lubowskiego. — „Podprefekt“ L. Gandillot'a. — „Wilk i owce.“ krotochwila Jordana.

Adolf Ostrowski zeszedł ze sceny, na której trzydzieści kilka lat pracował, bez pożegnania; choroba sprowadziła go nieznacznie za kulisy, ale przytrzymała z miesiąca na miesiąc, z roku na rok, aż nareszcie zgryzła i wtrąciła artystę do grobu. Nie było mu sądzonem wrócić więcej na deski i choć raz jeszcze ukazać się publiczności, której był ulubieńcem i którą umiał rozśmieszać i wzruszać swoją grą w rolach komicznych i charakterystycznych obfitego repertuaru.

Był bowiem czas, kiedy nazwisko Ostrowskiego ukazywało się codziennie na afiszu, kiedy nie było nowej sztuki, w którejby nie występował, przedstawienia, w któreby udziału nie brał. Czynnny, utalentowany, pracowity i w zawodzie swoim zamiłowany, był to aktor starej szkoły, dawnego pokolenia, należący do świetnej niegdyś plejady talentów, które scenę warszawską opromieniały, gdy mogła jeszcze szczyścić się takimi gwiazdami, jak Zółkowski, Królikowski, Panczykowski, Rychter, Tatar-

kiewicz, Bakałowiczowa, Modrzejewska, Popielówna i tylu innych.

Jednych śmierć zabrała na zawsze, drugich los usunął zupełnie, a luk pozostałych po takim ubytku, nie zapełniły równe co do jakości siły.

Ostatni zeszedł za nimi ze sceny Ostrowski, także nie zastąpiony do tej pory w wielu rolach, do których szczególnie się nadawał.

Należało mu się pożegnanie, wyraz wdzięczności i uznania ze strony tych, których dziadków i ojców jeszcze bawił w komedii i dramacie; pożegnanie to stało się jednak hołdem pośmiertnym, które więcej w materyjalnej niż moralnej ujawniło się formie.

Dla pozostałej wdowy i córki Dyrekeya zezwoliła na benefisowy poranek w Teatrze Wielkim, reżysera bez dużego co prawda zachodu, ułożyła program z rozmaitych wykrawków dramatycznych, kolledży pospieszyli z chętną pomocą, Lubowski ofiarował jednoaktówkę przez siebie napisaną i widowisko zapełniło salę publicznością, która chyba więcej dla pamięci zasłużonego artysty, niż dla mało zajmującego programu pospieszyła do teatru. Ani fragment z „Balladyny“, ani ostatni akt „Koryolana“, ani na wzbudzenie apetytu wystawiona ekspozycja „Dyany de Lys“, nigdy u nas nie granej, nie mogły w wyższym stopniu zainteresować publiczności, tem bardziej, że dwa pierwsze wyjątki znano już z innych poranków na tej samej scenie; pozostał tedy jedyną nowością „Mankiet“ Lubowskiego, krótki, zręcznie ułożony, dowcipnie pomysłany drobiazg, który jednak nie mógł trzech czwartych przedstawiania okupić swoją wartością.

W wyjątkach pokruszonych tragedji przekonali nas artyści tylko, iż od „wyższego stylu“ sztuki, od pathosu i godności bohaterskiej na scenie mieli za dużo czasu odwyknąć; włókł się dyalog ciężko, zimno, nawet nudnie miejscami, „Balladynie“ brakło poezyi w interpretacji, „Koryolanowi“ należytego tragizmu, gra była nierówna, nie dosyć wypróbowana, i co tu się dziwić!.. raz jeden zagrać na poranku wyjątki ze sztuk, które nie należą do repertuaru, które się przygodnie wyciąga z biblioteki, aby potem wrócić do rzeczy bieżących, do mieszczańskich komedji i dramatu, czy to się praca i zachód opłacili... Kostyum trzeba umieć nosić, na koturnach trzeba umieć stapać, dykcję trzeba odpowiednio nastroić w tonie repertuaru wielkiego, a do tego artyści nasi nie mają prawie żadnej sposobności.

Szczęśliwiej już powiódł im się pierwszy akt „Dyany de Lys“, tylko, że ten pierwszy akt pozostał smak zakąski przed obiadem, którego nie zastawiono; urwał się, zaciekawił i ciekawości nie zaspokoił dalej a kto wie, czy się reżysera kiedy zdecyduje zaspokoić ją wystawieniem dalszych czterech aktów.

„Mankiet“, choć jeden tylko z całej pary, stanowi przynajmniej dla siebie całość zaokrągloną; jako *lever de rideau* przyda się Rozmaitości i potrafi dobrze usposobić widzów do dalszego ciągu przedstawienia.

Sztuczka nie długa, ale zabawna, a zwłaszcza wybornie grana przez p. Frenkla, panią Trapszo Chodowiecką i p. Rolanda.

Pierwszy jest poprostu doskonałym w roli zaspalonego męża, który powrócił z koleżeńskij bibliki i na mankiecie przyniósł adres wypisany rączką jakiejś „Małgosi“, która sąsiadowała z nim przy kolacyi w restauracyjnym gabinecie. Żona to spostrzeżę i... zamiast zrobić scenę zazdrości z wybuchem płaczu i spazmów, używa na pierwsze otrzeźwienie dyplomatycznego sposobu. Wyciera chlebem męzowski mankiety i zwraca mu go, udając, że nie spostrzeżęła śladów niebezpiecznej pokusy, ale z jej zachowania się, tonu i uśmiešku, pan mąż musi dojść do przekonania, że się złapał i że mu wspomniałomyślnie pierwszy raz przebaczone, ale na przyszłość—niech będzie ostrożniejszym i nie szuka poza domem adresów kusielek, które go mogą narazić na małżeńskie piekielko za powrotem!

Sumienie się w nim odzywa, upokorzony tą delikatnością swej pani, przyrzeka sobie nigdy więcej nie dać się wciągnąć na biblikę koleżeńską „z damami“, a przynajmniej dla większej ostrożności nie zapisywać ich adresów na mankiecie, chyba... na gorsie od koszuli.

Gdyby ten drobiazg wyszedł z pod pióra francuskiego autora, mówilibyśmy:

— Ach, jakie to dowcipne, jakie to zręczne!.. takie nie a jakie zabawne!..

Naszym komedjopisarzom stawia się jednak w takich wypadkach trudniejsze warunki, wymaga się „czegoś więcej“, wzrusza ramionami i z miną zaledwie pobłażliwą powiada:

— No, tak... nie złe to, ale ostatecznie, nie w tem niema!.. szkoda, że tego Francuz jaki nie napisal!..

W kapeluszach krajowego wyrobu fabryki muszą naklejać paryską markę, chcą znaleźć większy zbyty; możeby i Lubowskiego „Mankiet“ więcej był znalazł uznania, gdyby go wystawiono, jako „tłumaczony z francuzkiego.“

Co do mnie, pozwalam sobie uważać ten drobiazg za dobry nabytek do repertuaru i tak nielicznych jednoaktówek oryginalnych.

Nie przeczę jednak, iż francuzi umieją zawsze jeszcze najlepiej pisać dla sceny i mają do tego szczególniejszy talent i temperament, zwłaszcza w komedji i farsie.

Świeży dowód tego miałem w trzyaktowym „Podprefekcie“ Leona Gandillot'a, autora „Hulaki“ i „Przelepek“, granych już z powodzeniem na scenie Teatru Małego. Pan Sliwiński umie sobie dobrać nowości i ożywiać repertuar, zna swoją publiczność i wie, czem jej dogodzić; w danym zakresie spełnia też wybornie obowiązek reżysera krotchwil i operetki. Co wieczór zaciera ręce z zadowoleniem, zapełniając salę i kasę teatralną, pewny niemal z góry powodzenia każdej premiery.

Gandillot należy do najmłodszych autorów nad Sekwaną, ale mu krytyka tamtejsza wróży świetną przyszłość, pomimo tego, iż nie odznacza się zbyt wielką oryginalnością. Jego „Podprefekt“ to „stary kawał“, jak to mówią, tylko odświeżony nowymi pomysłami; zamiana osób, odwieczne *quid pro quo*, stanowi i tu główny czynnik komicznych zakłóceń, ale domieszało się do tego trochę politycznej satyry, trochę aktualności, a że całość z wielkim humorem napisana, zwłaszcza w dwóch pierwszych aktach, więc farsa nie lepsza od wielu innych, nie jest wszelako gorszą o wiele od najlepszych, bawi i rozśmiesza do rozpuku.

Główną figurą jest w niej lokaj, który musi udawać swego pana i w przybranej godności podprefekta wysiligiwać się sprytnie z rozmaitych kollizji, coraz większe sprowadzając zamieszanie.

Pan podprefekt, kawaler na prowincji, wyjeżdżał sobie bez urlopu do Paryża na pohulanę, a podczas jego nieobecności służący zaskoczony rozmaitemi okolicznościami odgrywa jego rolę, by uratować *alibi* swego chlebodawcy; ztąd zakłócenia, nieporozumienia, komiczne niespodzianki, zakończone, jak zwykle, pomyślnie i bez szkody dla samego pana podprefekta. Artyści grają żywo, z humorem i właściwym zacięciem, szczególnie w rolach powierzonych p. Leszczyńskiej, pp. Morozowiczowi, Jarszewskiemu i Dylńskiemu a publiczność pęka od śmiechu i bije oklaski.

Czegóż więcej potrzeba do powodzenia sztuki w Teatrze Małym, który sobie wyrobił swoją specjalność i swoje przywileje u publiczności i krytyki!..

Rozmaitości dość często w ostatnich latach próbująca współzawodniczyć ze scenką przy ulicy Daniłowiczowskiej, wystawiła czteroaktową krotchwilę Jordana (Juliana Wieniawskiego) p. t. „Wilki i owce.“

Oryginalne krotchwile rzadko się u nas zdarzają; nie mamy w tym rodzaju i w tym kierunku ani wybitniejszych wielu talentów, ani usposobienia do farsy. W indywidualności naszej jest podkład poważniejszy, raczej melancholijny i refleksyjny, niż wesoły, humorystyczny i komiczny; umysły i temperamenty nasze mają przeważnie *minorowy*, nie *majorowy* nastrój.

— *Vous avez le vin triste*,—powiedzieliby do nas Francuzi, bo nawet gdy głowy zaszumią przy biesiadzie, gdy się z czupryn zakurzy, nie znać w nas tej jakiejś fantazyi, werwy, niefrasobliwej myśli i dowcipnego podniecenia, którem ongi odznaczały się nasze przaszczury.

Odbija się to i w twórczości literackiej, zwłaszcza w komedji a jeszcze bardziej w krotchwili; rzadko odezwie się w nich ów prawdziwy, szalony humor, ów pusty, swobodny śmiech na całe gardło, jakim

umieją się śmiać Francuzi w swoich farsach i Niemcy w swoich „possach.“

Przyznaję się, że mam niejaki uprzedzenie z tego względu do oryginalnych fars i wesołek; obawiam się w nich zawsze jakiegoś tonu niedociągniętego, jakiegoś sztucznego nastroju, jakichś zbyt widocznych usiłowań rozśmieszenia publiczności. *Ich merke die Absicht und werde verstimmt!..*

Jeden Bałucki, który pod tym względem nie zawodzi nigdy a z młodszych Zygmunt Przybylski wpada często we właściwy ton; innym się to udaje tylko w szczęśliwszych razach.

Jordan jest humorystą, ale o wiele lepszym w swoich książkach, niż w swoich sztukach; spogląda na świat uśmiechniętymi oczyma obserwatora i jowialisty, na satyryka brak mu ostrzejszych pazurów i zółci. To dobry, poczciwy optymistą, który ze złego żartuje, pogrozi mu palcem, ale nie karci ostro i surowo, nakiwa, upomni, wyburezy, ale potem pogładzi po głowie, poklepie po ramieniu i powie serdecznie:

— No widzisz, popraw się, nie rób tego więcej, bo będziesz brzydki i ludzie śmiać się z ciebie będą!..

Czyż mam mu z tego zarzut robić!.. uchwaj Boże! szanować i uznawać mogę tylko charakter takiego pisarza i człowieka, który sobie wziął za zadanie wytykać społeczne i indywidualne błędy i śmieszności, który rozumie to, że „prawda w oczy kole“, lecz nie uważa tego za dostateczny powód, by nią wybijać oczy ludziom.

Jednak są pewne tematy, które wymagają koniecznie ostrzejszego kolca satyry, jak są choroby, wymagające radykalniejszych środków; do takich tematów właśnie należy kwestya w „Wilku i owcach“ dotknięta przez Jordana.

Wyzysk publicznego zaufania, nadużycie ludzkiej łatwowierności, szantaż, oszustwo i proste złodziejstwo, obdzieranie biednych, ciężko pracujących jednostek z oszczędzonego grosza, to temat za poważny, i za szeroki do zbycia go jedynie wesołym śmiechem krotchwil.

Mieliśmy w rzeczywistości dosyć takich wypadków, choćby w ostatnich kilku latach, które pozostały po sobie wrażenie głębokie, wywołały oburzenie, niesmak, wstrząsnęły opinią publiczną i w skutkach swoich raczej dramat niż komedję tworzyły. Zapewne, że w najtragiczniejszym materiale życiowym znajdzie się jeszcze żdźbło komizmu, ale nie w niem leży punkt ciężkości i istota rzeczy; nie ono to stanowi najbardziej charakterystyczną część, którą powinien obserwator, satyryk, moralista wydobywać na jaw.

Z tego właśnie względu mam „Wilki i owce“ Jordana do zarzucenia, iż chwycił temat nie z tej strony w swoje zęby, z której należało, że go nie ugryzł z grubszego końca, ale ponadgryzał tylko z cieńszego.

Zamiast smagnąć „wilka“ żelaznym prętem, poczuchał jedynie „owce“ po kudkach i w krotofilny sposób traktował temat, dopraszający się poważniejszej i głębszej sondy.

„Wilkiem“ jest w humoresce czteroaktowej Jordana niejaki pan Pamfil, szantażysta, pseudo-hiszpańskiego pochodzenia, który zakłada bankietki, przyjmuje depozyty, sprzedaje na raty premiówki, reprezentuje jakies akcyjne towarzystwo z ponętym tytułem „Esperanza“, a potem oskubawszy łatwowierne owieczki, dające się znieść na grubą dywidendę, okrada kasę i czmycha, gdzie pieprz rośnie.

Podobnych Pamfilów widzieliśmy ostatniemi czasami w Warszawie *in natura*, ale ich operacje sięgały dalej, ich kryminalistyczne sprawy kosztowały trochę więcej, ich wileze zęby nadszarpały nie tylko wełnę ale i żywego mięsa owiec, które im zanadto zawierzyły; wobec nich Pamfil z krotchwili jest tylko figlarzem, który poprzestaje na trzyrubłówkach kucharek i posłańców a jedyny większy depozyt, który zagrabia do swej kieszeni, nie przenosi trzech tysięcy.

Jeżeli tedy sztuka Jordana miała poruszać kwestyę na dobre, stać się na prawdę aktualną, odzwierciedlić ludzi i stosunki rzeczywiste, należało zagarnąć większy materiał, pogłębić i rozszerzyć temat, wyzyskać go poważniej, wyciągnąć z niego silniejszy morał, ale do tego wazkie i ciasne ramy krotchwili nie wystarczały.

Autor mniej miał na uwadze szkodliwego „wilka“ a więcej głupie „owce“, które chciał ośmieszyć za ich łatwowierność i lekkomyślność. Ugrupował tedy ich stadko z niewinnych, potulnych, w miarę komicznych egzemplarzy i zabawił ich kosztem publiczności. W lekko szkicowanych sylwetkach narzucił kilkanaście figur, które zajął w epizodycznym ruchu, z główną akcją i założeniem dość luźnie związanym, ożywił sytuację jowialnym humorem, rozsypał trochę dowcipów, (niektóre, wprawdzie wyborne, ale są pomiędzy nimi i mniej wybredne pod względem dobrego smaku), nikiła treść rozciągnął aż na cztery akty, a raczej obrazy rodzajowe i utworzył krotoczwilę za płytka jak na komedię, za mało zabawną i powikłaną, jak na farsę.

Pierwszy akt, który się rozgrywa w poczekalni kąpielowej i trzeci w kantorze pana Pamfila posiada jeszcze najwięcej scenicznej wartości i świeżych pomysłów, ma kilka momentów prawdziwie komicznych, ma sytuacje zabawne, które tworzą właściwy nastrój krotoczwili, wywołują śmiech i nadają żywego interesu sztuce, ale zawiązanie i rozwiązanie intrygi, jeżeli ją tak nazwać można, nie budzi ciekawości a najmniej domyślny widz już z samego tytułu i ekspozycji przewlekającej się do drugiego aktu, odgadnąć musi zakończenie.

„Wilk i owce“ przeto nie stanęły na równi z „Mysiami bez kota“ sympatycznego autora „Wędrowców delegata“ i „Słomianego człowieka“.

Sztukę grano składnie, żywo, z charakterystycznym zacięciem zwłaszcza w rolach męzkich, które pp. Frenklowi i Rapackiemu dały pole do popisu.

M. Gawalewicz

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Skarbiec strzechy naszej, ukazujący się już w drugim wydaniu, jestto obraz życia ludu wiejskiego, jego pojęć o świecie i ludziach, jego obyczajów i zwyczajów dawnych, jego poezji rodzimej, której wyrazem są gadki, przechodzące z pokolenia w pokolenie, jako puścizna uczucia i tej fantazyi czysto swojskiej, rodzącej mu się w piersi pod wpływem wrażeń jakie wywiera otaczająca go natura, oraz stosunki życiowe. Autor (G...) przedstawia nam wieś naszą, nie taką przecież jaką jest ona obecnie w rzeczywistości swojej, ale taką jaką być by mogła—jaką być by powinna pod wpływem cywilizacji i postępu, co przecież nie jest ideałem, nie dającym się urzeczywistnić, bo osiągnęli to już inni, Holendrzy, Bawarzy, osiągnęli i pobratymcy nasi Czechy. Nowe potrzeby rodzić się muszą niezbędnie, nowe środki pracy, nowy układ życia są koniecznością i autor ukazuje nam też w książce swojej wzór wsi takiej: na ścianach chat wiszą obrazy nietylko świętych patronów, do których zanoszą się modły o błogosławieństwo dla tej pracy, którą znojem swoim rosza, ale i tych ludzi, którzy szlachetnie pojmując obowiązki człowieka wśród społeczeństwa, przykładali rękę do dzieł postępu i których podobizny budzić by mogły w piersiach ich współbraci uszlachetniające podniesienie się nad to życie pasożytne, które zaspakaja jedynie materialne potrzeby.

Obok pracy na dobrobyt, na układ życia cywilizowany potrzeba jest jeszcze człowiekowi podnieść wzrok ku górze, z kądy spływać na niego promienie światła, potrzeba mu zarazem i tych chwil swobodnych, w których umysł jego odrywał by się od pańszczyzny realnego jedynie istnienia — potrzeba mu więc obok tego wytechnienia dla sił jego cielesnych i uweselających życie momentów. Dają nam to święta w połączeniu z tradycyjnymi obrządkami i autor przedstawia w rozdziale drugim cały szereg tych świąt i tych dni wyjątkowych, w których zgromadzają się rodziny i ludzie związani ze sobą węzłem przyjaźni. Wielce zajmujące są opisy zwyczajów naszych w tym kierunku: Boże Narodzenie z kalendariami i szopką, nowy rok, zapusty, wielkanoc, wiosnianki, zielone świątki, wianki, sobótka, dożynki, okrężne, gdzie obok tego autor zamieścił trady-

cyjne obrzędy przy godach weselnych z wielką ilością pieśni i charakterystyczną muzyką przekazaną nam przez wieki.

Jakże to wszystko przedstawia nam się uroczo wdzięczne na tle starożytnego obyczaju! Autor daje nam obraz „dziewiczego wieczoru“ w wigilię ślubu, który narzeczona przebywa w gronie druchen i przyjaciółek swych młodych; niemniej charakterystycznym jest opis uczy weselnej oczepin i wianowania, a wśród pieśni i piosenek wesołych uderzają niespodziewanie wdzięczną melodyjnością kołysanki i pasterki, oraz dumki. „Wianek Haliny“ rozpoczyna szereg klechd i baśni; podanie to osnutem jest na tle święto-jańskiego zwyczaju puszczenia wianków na wodę przez dziewczęta, które wróżą sobie z ich losów przyszłość swoją. Jeżeli wianek nie zostanie schwytanym przez wioślarzy, jeżeli gdzieś popłynie w dal, uniesiony przez fale, wróżba to smutna, przepowiadająca życie samotne, szczęściem miłości nie rozjaśnione.

Bardzo zajmująco skreślił autor wspomnienie o zawnym ziemianinie, Janie Chodźko. Urodzony w 1777 r., we wsi Krzywica, dożył 1851 r., i to bynajmniej nie przynięciony bezsilną zgrzybiałością, a życie jego nie było przecież próżniaczem. Przejęty gorącą miłością wsi i wieśniaków, skreślił w 1820 r., książkę dla ludu, zaleconą przez uniwersytet wileński: „Pan Jan ze Swisławy“, w której ów p. Jan wędruje od wioski do wioski, od miasteczka do miasteczka i rozjaśnia ciemnotę, daje rady dobre tak rodzicom, jak nauczycielom, jakim powinno być wychowanie dzieci i czytelnik spotyka się tu ze szlachetnie rozumnym zdaniem, jaką jest zasługa tych, którzy nieca światło tam, gdzie panuje ciemność. „Nauczyć się obowiązków i powinności gospodarza domu, ojca, męża, syna, pozbyć się obrzydliwych nałogów pijaństwa, kradzieży, kłamstwa, oszukiwania—pozbyć się wiary w gusła, zabobony, które święta wiara nasza i zdrowy rozum ludzki potępia, nabyć wiadomości potrzebnych dla obowiązków wieśniaczych, szanowania własności sąsiada tak bogatego, jak ubogiego, to znać cel powołania rolnika.“

Dobór szlachetnych zdań i wskazówek dla życia uczciwie, pożytecznie przy pracy wiedzionego, które autor zgromadził na 360 stronicach książki, daje jej znaczenie wyższe w literaturze naszej ludowej, a obok tego wskazówki, z jakich czytelnik korzystać może wśród trudnych nieraz życia warunków, czynią jej czytanie niepospolicie użytecznym i tytuł „Skarbiec naszej strzechy“ bynajmniej nie zawiedzie czytelnika, który się tu powiadamia, gdzie szukać tego, co jest dobrem, szlachetnym, a jedną z takich wskazówek jest wiadomość o pożytecznych pogadankach Kazimierza Sokolika, zaczytujących się od wiersza Kochanowskiego, którego nazywa autor niemylnie najszlachetniejszym z naszych poetów w wiekach dawnych.

Szczerym humorem i dowcipem technie rozdział 6-ty obejmujący przypowiadki żartobliwe. Przysłowia są wyborem najtrafniejszych porównań i zwrotów językowych, których zebrał autor kilkaset; w rozdziale 8-ym mamy sto pięćdziesiąt starodawnych zagadek, a rozdział ostatni „Gry i zabawy“ przypominają czytelnikowi lata jego młode, miłe igraszki pochołał i opowiadania starszych, które znajdujemy w *Skarbcu*, szczegółowo opisane. Książka jest więc zajmująca i zarazem bardzo pożyteczna, autor zasłużył się też dobrze społeczeństwu swemu kreśląc ją i pragnąć trzeba, aby się rozeszła między szerokie koła czytelników, którzy zapewne nie zasną nad nią, jeżeli tylko mają w sercu miłość rodzinnego kąta—jeżeli umieją czuć swojskie piękno życia.

Autor dobrze się wyraził w rozdziale „Zwyczaje i pieśni doroczne“ pisząc, że jak kwiaty są ozdobą ziemi, tak zwyczaje tradycyjnie nam się dostające są okrasą domowego życia, bo spuścizna to jest długich stuleci bytu społecznego, nadająca życiu wdzięk właściwy i kto je zatraci, odbierze sobie najmiłsze, najdroższe te przyjemności, które wplatają się wdzięcznie w łańcuch ciężkich nieraz prac i trudów istnienia tu naszego. To też książkę, która mu to wykazuje, lub przypomina, uznać trzeba za wielce pożyteczną w życiu rodzinnym i dla tego życzyć należy matkom wszystkim, aby się znalazła w ich bibliotece,—aby włożona w ręce młodzieży poddała jej wyobraźni obrazy swojskiej fantazyi, czyste zawsze—zawsze wykazujące, że złe jest nieszczę-

ściem, a szczęście wypływa z dobrego źródła uczuć szlachetnych.

Książka mieści obok tego kilkanaście melodyj prastarych, niewymownie wdzięcznych przez prostotę swoją, a które Maszyński z prawdziwym poczuciem swojskiego piękna tej muzyki, która gra w koło nas w szumie wiatru, w szmerze liści, w śpiewie ptasząt, z wielkim wdziękiem harmonizował, mieszając prozę życia z życiową poezją. Dodać trzeba, że książka złożona z 356 stronic, kosztuje 60 kop.

M. I.

Z AMERYKI.

W Stanach Zjednoczonych mimo wielkich bogactw skarb państwa nie jest obficie zaopatrzone. Sprawozdanie wykazało brak potrzebnych wpływów dochodowych i taryfy celne na rok 1897 ulegną zmianie odnośnie do cel protekcyjnych, choć przecież nie może się to stać zaraz, niemniej proponowane już są te zmiany, które nie w jednym kierunku dadzą podwyżkę niemałą, bo ośmiu milionów, a cło nałożone na wełnę przyniesie skarbowi 25 milionów dolarów. Można też powiedzieć, że cywilizacja nie daje nam nic darmo i za to, co nam przynosi jako narzędzie nabywania wartości swoich, każe płacić sobie procenta trudów, oblewających czoła znojem; nie godzi się przecież narzekać, bo niesie z tem razem i światło, wykazujące nam cele, podnoszące serca w piersiach. Człowiek poczynając od zdobycia sobie kawałka chleba, aż do skarbów ducha, musi na wszystko zarobić, jak to Franklin szlachetnie dowodził, dodając przecież, że w każdym razie człowiek bogato jest wyposażonym, bo wolno mu po wszystko sięgać i zdobywać sobie wartości najwyższe, byle tylko umiał umiejętnie nimi rozrządzać.

Jest to *credo* amerykańców, a wiązanie się w stowarzyszenia daje tu ludziom tę pomoc wzajemną, którą umieli sobie wytworzyć we wszelkich kierunkach życia. Spółki budują gmachy publiczne, spółki zakładają fabryki, a nawet udoskonalenie istoty własnej odbywa się tu za pomocą tych czynników; ludzie podają sobie ręce nietylko, aby pracować razem, ale i razem pozabawiać się wad i złych nałogów, bogacie się w cnoty i zdobywać wytrwałość wśród tych walk, które staczać trzeba nietylko z otaczającym nas światem, ale i z własną istotą swoją. Do takich czynników wspomagania się bratniego zaliczyć należy „Towarzystwo tłumienia występków“, założone w 1872 r., w Nowym-Yorku zabiegami i poświęceniem się prawdziwej miłości bliźnich jednego człowieka i to nie należącego do możnych tego świata, do uczonych, lub filantropów z powołania. Był to prosty subjekt handlowy, młody i o własnej sile idący w świat, Antoni Comstok; jakim było jego wychowanie, jakie były wpływy jego młodości? niewiadomo. Zwrócił się on raz do kolegów swoich z uwagami naganiającymi, że czytają złe, niemoralnej treści książki, które podsuwało im dwóch nieznajomych kolporterów. Jego gniewało to i burzało nawet, ale nie pomagało bynajmniej; żartowano z niego, że jest panienką, której strzeże mama, on niemniej widząc złe skutki, jakie to sprawadzało, podał do sądu skargę na gorszyceieli, którzy kupeżyli godnością istoty ludzkiej. Ze przecież były to słowa tylko bez dowodów żadnych, sąd skargi nie poparł, ale szlachetny młodzieniec zagrzany gorącym uczuciem miłości dobra, rąk nie założył.

Napisał do redakcyi dziennika *Tribune* list, w którym odmalował gorącymi barwami znaczenie złego i dobrego czytania i w ogóle wpływów z posiewem zepsucia, a list ten sprawił na czytelnikach wrażenie tak silne, że w bardzo krótkim przeciągu czasu Comstok otrzymał 600 dolarów przeznaczonych na cel, do którego dążył. Posiadając już wtedy środki działania zwrócił się do jednego z miejscowych adwokatów, cieszącego się opinią szlachetnego człowieka, a ten pokazał mu jaką drogą można dobieć do celu. W ciągu kilku tygodni wyszukał i skazał na zagładę przeszło sto tysięcy złych książek,

a obok tego za 20,000 dolarów kliszów i drzeworytów ze sprosnymi obrazkami.

W 1870 r., złączyła się z działalnością Comstoka znaczna część członków Chrześcijańskiego stowarzyszenia młodzieży i wytworzyło się razem Stowarzyszenie tłumienia występku, które zaraz wkrótce zgromadziło 500 członków i kilkunastu działaczy czynnych, na których czele stał i stoi jeszcze dotąd on sam tak gorliwy, tak poświęcony sprawie, że obok jednych, którzy go uwielbiają, wytworzyła się partya naganiająca jego środki działania, aż do nienawiści, bo ma pewną liczbę agentów których rozsyła po domach gry, po miejscach złych hulank, aby potem przedstawić społeczeństwu w dziennikach, jaka to zaraza moralna tam się gnieździ?

Rozbiory złych książek, których czytelnikami bywają najczęściej małoletni, jest też jednym z jego zadań.—Co nam przyniesie prócz zarazy ducha lektura taka? woła i jest niewypowiedziane czynny w różnych kierunkach tego zadania, któremu się poświęcił duszą całą. Oprócz tego nad czem czuwa stał się agentem rządowym, pilnującym książek wysyłanych do miast i prowincyi innych, a rewidowanie tych przesyłek jest jego nigdy nie zaniedbaną pracą.

Z równą energią występuje on przeciwko graniu w loteryę. — Tylko pieniądz zarobiony może być uczciwą własnością człowieka... woła nieustannie do społeczeństwa swego i napisał też, oraz wydał własnym kosztem po cenie ledwo koszt ten pokrywającej dwa dzieła, w których starał się uwydatnić znaczenie pojęć, które głosi, a nie była to praca daremna. Pisane sucho i surowo nie wywierają wprawdzie takiego wpływu, jaki mieć by mogły, przecież nie zmniejsza to jego zasługi, bo nietylko jest to pragnienie rozszerzenia między społeczeństwem swoim pojęć i uczuć szlachetnych, ale i ofiara pracy kilkoletniej bez żadnego wziętku.

Bogata natura, na której łąnie żyje tu człowiek, ułatwia mu życia tego zadanie i to na warunkach, o jakich stara Europa nie może sobie wytworzyć przybliżonego nawet pojęcia. Stany Ameryki Północnej są już tak zaludnione niemal jak Europa, ale istnieją tu jeszcze przestrzenie nieprzemierzone, gdzie bogata i przez człowieka nie wyzyskana ziemia otwiera szerokie pole istnienia na warunkach nie dających się nam niemal pojąć; chociaż i tu zaczyna się już robić ścisk ludzi. Zwiedzałem niedawno wschodnią część stanu północnej Dakoty, którą natura obdarzyła tak bogato pięknosciami swemi, o jakich europejczyk ledwo marzyć może. Równina to jest przecięta przez rzeki i rzeczki wązkimi dolinami, a zarazem falisto górzysta; nigdzie były tu nieprzemierzone prerye, czarowne kobierce natury, a wzdłuż rzek i rzeczek ciągnęły się jedynie wstęgi bujnych krzewów. Ziemia jest niewypowiedzianie urodzajną, więc też ludzie nie dali jej leżyć odłogiem, zwłaszcza we wschodnich i środkowych jej przestworach, a dawano tam przybyszom szerokie jej rozłogi, wydzielane na tak zwane sekce, których obszar odpowiada angielskiej mili kwadratowej, a bywają fermy posiadające pięćdziesiąt sekeyi. Jedna z nich w miejscowości Dolrimple obejmuje 36 sekeyi, zasiewanych pszenicą i nie łatwo nam przedstawić sobie taki obszar łanów zboża i tego, co zbiór przedstawi. Gospodarstwa Europy mogą się też lękać i zapewne już lękają się konkurencyi, zwłaszcza przy ułatwionej obecnie komunikacji statków parowych i kolei.

Wszystko w tym nowym świecie przybiera rozmiary, nie dające się niemal pojąć przybyszowi z naszej półkuli. Lasów Kaliforni nawet w marzeniach przedstawić nam sobie niepodobna, chociażby we wschodnich stanach Ameryki oglądał już olbrzymi zadziwiający europejczyka. Pierwsze opisy podróżników nie znajdowały tu wiary i niedawno, bo dopiero lat temu kilka, jeden z uczonych przyrodników angielskich wpadł na pomysł zdjęcia z takiego drzewa kory, co już przedstawiło naocznie dowód niezbity. Wkrótce potem podróżnik francuzki Fromont wysłany do Kaliforni przez rząd swój w celach naukowych, odkrył nagle wśród puszczy lesistych bócały takich olbrzymów, a że jeden z nich leżał powalony mógł więc zmierzyć go i określić dokładnie jego rozmiary. Wysoki na 275 stóp, miał średnicy 15, a nie był on tu bynajmniej jakąś szczególnością, bo obok niego wznosiło się wiele wyższych grubszych. Anglik Forton w opisie podróży swej

do Kaliforni ukazuje czytelnikowi las świerkowy, którego olbrzymie drzewa były wysokie na 200 do 300 stóp, a średnica ich przedstawia w odległości siedmiu stóp od ziemi około stóp czterestu. Kora twarda i mocna dosięgała grubości stopy, a dodać trzeba, że przy dalszych poszukiwaniach podróżnik ten odkrył lasy całe takich olbrzymów; które wywierają wielki wpływ na klimat, a co za tem idzie i na urodzaje. Ludność miejscowa przyzwyczaiła się do ich wspaniałego rozrostu, zwłaszcza że znajduje się tu jeszcze inne, silniej mogące przykuwać wzrok do siebie, a jest ich już tylko dwanaście i to jedynie w hrabstwie Kavaleros, pozostałość tych kolosów, wywierających na każdego silne i niemal uroczyste wrażenie, znajduje się tam 131 drzew takich, że kiedy dla doświadczeń naukowych jedno z nich ściać postanowiono, czterech silnych i doświadczonych w rzemiosle swoim drwali pracowało nad tą sprawą od rana do wieczora blisko przez miesiąc, bo po za przygotowaniem się do tego dzieła rąbano je od rana do wieczora przez dni dwadzieścia dwa. Jeden z przyrodników obliczył na podstawie słów, że ten protoplasta lasów ziemi miał 3,500 lat istnienia. Zainteresowanie się przyrodników jest też wielkie i postanowiono dokonać tak poszukiwań na całym obszarze Ameryki wśród innych drzew podobnych, jak ścisłego rozbioru ich przypuszczalnemu istnieniu. Rezultat ich prac przedstawić już wam będę mógł zapewne w liście przyszłym.

....

Echo z Berlina.

Berlin 10-go Lutego 1896 r.

Proces o obrazę wszczęty przez panią Linę Morgenstern redaktorke tygodnika wychodzącego tu pod tytułem „Deutsche Hausfrauen-Zeitung“ i autorkę wielu bardzo prac dla dzieci i młodzieży, przeciwko redaktorowi „Jugendchriften-Warte“, nauczycielowi Ziegler, dobiegł do końca. Pod tytułem: „Słowo z ust kompetentnych“ pismo „Jugendchriften-Warte“ przedrukowało rozdział z dzieła „Wychowanie i wykształcenie dziewcząt.“ W rozdziale tym w słowach, aż nadto dobitnych wystąpiono przeciwko całemu szeregowi autorek prac dla młodzieży, nazywając prace ich zgubnym wpływem na młodzież żeńską. Do autorek tych zaliczono głównie Luisę Büchner i Linę Morgenstern i odnośnie do tej ostatniej wskazano na nowelę jej „Miłość i Cierpienie“ (Liebe und Leid).

Nauczyciel Paweł Ziegler skazanym został na 150 M. kary pieniężnej ewentualnie 15 dni więzienia i poniesienie wszelkich kosztów. Oskarżyciele przysądzonem zostało prawo opublikowania wyroku w najbardziej czytanych gazetach, na koszt oskarżonego.

Pismo tygodniowe „Deutsche Hausfrauen-Zeitung“ jest organem stowarzyszenia gospodyń berlińskich, zostającego pod przewodnictwem pani Liny Morgenstern. Stowarzyszenie to zorganizowane w roku 1873 ma na celu sprawy gospodarze i domowe, jakoteż popieranie przemysłu, a szczególnie pracy kobiecej. W połączeniu ze stowarzyszeniem tem istnieje założona przez członkinie szkoła kucharska i bezpłatne stręczenie sług. Podczas tygodniowo odbywających się posiedzeń członkiń, przedstawione bywają i próbowane różne wynalazki i wyroby, wchodzące w zakres gospodarstwa domowego i codziennych potrzeb. Od czasu do czasu odbywają się odczyty popularno-naukowe, lub humorystyczne. Na jednym z posiedzeń tych przewodnicząca pani Morgensternowa wystąpiła z projektem zorganizowania w Berlinie kongresu międzynarodowego kobiecego, odbyć się mającego w czasie wystawy przemysłowej, która otwartą tu będzie w lecie roku bieżącego w parku Treptow pod Berlinem. Projekt ten wywołał już w zagranicznych stowarzyszeniach „Union universelle des femmes“ i „Int. women union“ w Londynie, których sekretarką dla grupy niemieckiej jest pani Morgenstern żywą sympatyę. Blizsze szczegóły projektu ułożone zostaną po poro-

zumieniu się z innemi stowarzyszeniami niemieckimi i wtedy pozwolimy sobie czytelniczki Bluszezu zaznajomić z niemi.

Nader interesującą prelekcję o kobietach miała w sali Vereinhansu P. Doktorka Stefanja Daszyńska. Prelegentka osoba wiele sympatyczna, dowiodła pięknymi zwrotami mowy swej, że wnikła w ducha języka niemieckiego, lubo język ten przedstawia w płynnej mowie pewne jeszcze dla prelegentki trudności. Rodem z Warszawy, p. D. odbywała studia swe w Zurychu, słuchając wykładów ekonomii i historii; w roku 91-ym otrzymała dyplom doktorski za rozprawę: „O zaludnieniu Zurychu w 17-ym wieku.“ Jako autorka i współpracowniczka wielu pism, tłumaczyła także kilka dzieł specjalnych. Chcąc poznać niemieckich ekonomistów p. Daszyńska uczęszcza obecnie na wykłady ekonomii narodowej w uniwersytecie Berlińskim. Z dniem 1-go Lutego Dr. D. rozpoczęła tu cykl wykładów rzeczonożego przedmiotu dla kobiet, do których zameldowało się blisko 80 słuchaczek. O przedmiocie tym miała P. Daszyńska odczyt w stowarzyszeniu „Frauenwohl“, obrawszy za specjalny temat zajmujących i pouczających wywodów swych znaczenie ekonomii w wykształceniu kobiet. W przekonujących słowach dowodziła prelegentka, że kobieta przy praktycznym swym umyśle nadaje się w wysokim stopniu do studyów ekonomicznych.

Zamieniwszy raz bierną swą rolę na czynną, przystępując do współdziałania zarówno na polu produkcji jako pracowniczka jak i przy konsumpcyi jako płacąca podatki, a przytem jako żywicielka rodziny, powinna kobieta przez oznajmienie się z ogólnemi stosunkami ekonomicznymi, ich przyczynami i skutkami starać się uniknąć ograniczonego sądu i własnej krzywdy. Nietylko pracownice z niższych warstw, ale przeważnie kobiety średnich sfer liczy biorą udział w życiu ekonomicznem, albowiem niezawsze wystarczające dochody męża zmuszają je na równi z setkami tysięcy kobiet, pozostawionych własnemu losowi, występować na polu pracy jako samodzielny czynnik w życiu gospodarczem. Prawo pracy wywalczyła sobie kobieta nie od dziś, lecz nie zdobyła dotąd prawa równego mężczyźnie wykształcenia i równego jemu wynagrodzenia pracy.

Mowa Doktorki Daszyńskiej przez licznie zebrane towarzystwo pań i panów nader przychylnie została przyjęta.

Najbujniejsza fantazyja nie jest w stanie przedstawić sobie bardziej jaskrawego obrazu jak ten, jakim stowarzyszenie artystek zachwyciło na balu kostyumowym licznie zebranych gości. Do „zabaw jarmarcznych w Staro-Berlinie w roku 1800“ zaproszeni zostali goście, lecz tylko żeńskiego rodu, gdyż na balach tych rycerki pendzla chcą dowieść, że i bez panów stworzenia bawić się umieją. Jak wielkiem cieszą się te zabawy uznaniem dowodzi to, że przy każdorazowym, co dwa lata odbywającym się powtórzeniu tego balu zebranie bywa co raz liczniejszym. Kiedy o godzinie ósmej rozpoczęło się zebranie jarmarczne, nie sposób było się przetoczyć, i o ile sądzić można było, liczba gości w chwili tej dochodziła blisko 2,500 osób.

Pomimo że nie noszono masek, fizyognomje były przez kostiumy do niepoznania zmienione. Widziałem tam królowę Luisę, „Lottę“ werterowską, radezynię Goethe i prawie wszystkie wybitniejsze osobistości owego czasu w strojach męzkich i kobiecych — postacie ze wszystkich krańców świata. W pośrodku sali urządzoną była tombola. Kuglarze, tyrolczycy, stańczycy, wróżbiarze, gnomy i kończący cyganie produkowali się z kunsztami swemi. W jednym z namiotów golono i rwano zęby; w zajazdach, pod zieloną drzewiną, „pod pięknym widokiem“ i „w altance“ tłoczono się do orzeźwiających napojów; handlarki z wyrobami z drzewa, z torebkami do tabaki i koszykami targowemi miały wielki odbyty; listonosze obchodzili, wręczając pakunki i listy; na stacyach pocztowych można było pisać karty, które ozdobione były emblematami pendzla najprzedniejszych malarek tutejszych. Policya targowa sporo miała do roboty odprowadzaniem do więzienia pośrodku sali umieszczonego licznej zgrai przestępców.

O dziewiątej rozpoczęła się defilada całego towarzystwa pod przewodnictwem komitetu zabawy, złożonego z pań Crelinger, Gronen i wielu innych,

wszystkie w strojach pocztynionów dawnej daty, ale trudno im było precyzyjnie się przez fał.

Na wozie wjechał tabór koczujących cyganów, na innym znowu wędrowna menażerya, a około dziesiątej rozpoczął się na estradzie taniec pocztynionów i skromnych dziewic, wykonany równie oryginalnie jak interesująco. Kto jeszcze mógł miejsce zdobyć śpieszył do *singspielhalli*, gdzie za opłatą 50 fen., można było ducha swego skąpać w rozkoszach artystycznych, wykonanych przez znane primadonny pod inprezą dyrektora „Fludribusa.“ W czasie tego cyganie na scenie czarowali tańcami, zaś niedźwiedz bawił komiecznymi i niezręcznymi saltami; nieopodal urozmaicały program pogromczynie węzów. Wtem jodler oznajmił rozpoczęcie się tańców góralskich, — a skoki i piasy w niczem zaprawdę nie ustępowały schuhplattlerom prawdziwych synów gór. W końcu, przystąpiły godne córy honoracyuszów do odtancerzenia menueta. Wszystkie tańce wybornie były wykonane. O północy odbyło się przedstawienie w wielkim „tintamaresque“ — teatrze, w bliskości zajazdu „pod zieloną drzewiną.“

A wśród wszystkich tych zabaw i spektakłów brzęczała, huczała, bawiła się i tańczyła wesoła czereda wszechkolorowych postaci, począwszy od powabnego podlotka, kończąc na poważnej matronie. Lubo program zapowiadał koniec zabawy na godzinę 2-gą, jednak rozbawiona rzesza dopiero o 4-tej rano rozchodzić się poczęła.

Sympatyczne artystki, które nie szczędziły tyle trudu i mozołu w celu wykonania świetnego festynu, zadowolone być mogą z rezultatu swych zabiegów, fundusz bowiem zebrany na wsparcie kasy pomocy artystek znaczny zyskał zasiłek, a samo ich stowarzyszenie zjednało sobie wiele bardzo zwolenniczek, które — miejmy nadzieję — stale zachowają zainteresowanie swe dla stowarzyszenia.

M. W.

Położenie kobiety w Ameryce.

Jeszcze przed trzydziestu laty w przemysłowym świecie stolicy Stanów Zjednoczonych, w Waszyngtonie ani znaną nigdy, ani do stowarzyszeń przemysłowych zapisaną nie była żadna kobieta; dziś należy ich do instytucji przemysłowych około 6,000. Praca amerykańek na tem polu rozwija się wszechstronnie i dostarcza niemało dodatnich rezultatów w sumie społecznej dobrodziejstwa na drugiej półkuli.

W skarbie państwa kobiety odgrywają dużą rolę, wymagającą ze strony rządu wielkiego zaufania. Są one zajęte sortowaniem, przecinaniem i układaniem banknotów; przecięciowo codziennie przez ich ręce przechodzi około pół miliona dolarów. Robotę wykonywają ze zręcznością zdumiewającą; bez nich też państwo obejść by się w danym razie nie mogło.

Jeżeli gdziekolwiek pociąg, wiozący pieniądze, stanie się pastwą płomieni, natychmiast kasę ogniotrwałą wysyła zarząd kolei do Waszyngtonu. Kobiety ją otwierają, wyjmują z wnętrza nieraz w popiele na pół przepalone leżące banknoty, wydobywają resztki papierów i badają je przez mikroskop. Po skutecznieniu tej nużącej pracy, kobiety-urzędniczki obliczają straty, wykaz szczegółowy przedstawiając władzy skarbowej, która potrzebną sumę zaraz asygnuje i stratę pokrywa. Jak z tego zajęcia wywiązują się kobiety, można mieć wyobrażenie z tej okoliczności, iż skarb państwa w ciągu lat trzydziestu, dzięki subtelnej analizie papierów, uszkodzonych przez ogień, wodę lub pogryzionych przez myszy — poniósł tylko nieznaczającą szkodę w kwocie 25 centów, materiał zbadany przez kobiety dał się bowiem skontrolować i z długu państwa wykreślić. Kobiety również obliczają w kasie państwa złoto i srebro, stemplują banknoty ręcznymi maszynkami i spełniają inne większej wagi funkcyjne urzędowe.

Prawdziwa rzetelność tych pracowniczek, sumienność ich i pilność sprawiają, że czynność, jaką każda z nich spełnia, powszechnie zdobywa uznanie i groźną się staje dla mężczyzny. Było np. w New-

Yorku trzech braci w pewnym interesie handlowym: jeden zajmował stanowisko kasyera, drugi — buchaltera, trzeci — stenografa; obecnie trzy te posady objęły trzy siostry, które z ochotą za trzecią część zapłaty wykonywają to, co robili mężczyźni.

Na wszystkich zawodowych polach pracy występuje owa niezwalczona konkurencja kobiet, które zabierają się do działalności z zupełnym przygotowaniem, wykształceniem fachowem gruntownem i wszechstronnem i — co najważniejsza — z wytrwałością, przewyższającą o wiele pilność mężczyzny. Walka też pomiędzy płcią słabą a silną w całej mocy i na całej linii: mężczyźni nie ustępują dobrowolnie i nie chcą opuszczać posad swoich, ale kobiety, dzięki sumienności w pracy wykonywanej, zwyciężko wkraczają na coraz nowsze i wybitniejsze posterunki. Kasyerki zasiadły w sklepach; w bazarach różnych i handlach w Ameryce północnej wszędzie kobiety spełniają liczne obowiązki ku zadowoleniu właścicieli i publiczności. Dziewczęta pobierają opłatę na wielu statkach parowych i drogach żelaznych, co do niedawna nigdzie w Stanach Zjednoczonych nie miało miejsca.

Bardzo są poszukiwane kobiety do zajęć, które dotąd wyłącznie znajdowały się w rękach mężczyzny; licznym jest np. obecnie zastęp komiwojażerek, podróżujących w sprawach handlu kawy, herbaty, konserw, wyrobów jedwabnych, bawełnianych etc. Pobierają one za to tylko połowę płacy, jaka jest udziałem ich kolegów. To obniżanie zarobku należy do ujemnych stron działalności kobiecej, krzywdzi bowiem klasę pracującą.

W New-Yorku jest obecnie 25,000 mężczyzny, których utrzymują żony; z drugiej jednak strony wielu młodych ludzi nie może się żenić z powodu konkurencji w zarobkowaniu, przez kobiety w życie wprowadzonej.

Wskutek tej konkurencji wypływa dziwny, nieprawdopodobny stosunek pensji, przywiązanych do różnych zawodów.

Można np. w dziennikach amerykańskich wyczytać następujące ogłoszenia:

„Wyborna kucharka, nie potrzebująca prac, otrzyma zapłaty 20 dolarów.“

Obok czytamy:

„Wykwalifikowana stenografka, umiejąca pisać na maszynie do pisania, otrzyma 5 dolarów!“

Taka jest odwrotna strona medalu!

Przed dwoma laty wyrobiony buchalter zarabiał rocznie 1,200 dolarów; w tym czasie kobieta obniżyła płacę za to samo zajęcie do 500 dolarów, wskutek czego mężczyzna musiał zredukować swe pretensje do 900 dolarów. W ten sposób oboje zarabiają trochę tylko więcej, niż poprzednio mężczyzna pobierał sam jeden.

W Ameryce wszystko dąży do ostatecznych granic — pod tym względem i ruch niewieści krańcowo się rozwinął. Kobiety w krótkim bardzo czasie zdobyły przewagę, gdy w Europie długo jeszcze walczyć musza o wysunięcie się z cienia.

W Stanie New-Hampshire znajdują się trzy kasyerki w banku, z tych jedna już po raz dziesiąty została na to stanowisko wybrana. Dzięki ich pracy finanse banku znacznie się podniosły. Najstarsza kasyerka świetnie zna się na kasach pożyczkowych i została powołaną na członka jednego towarzystwa, które ma na celu zakres ten u siebie rozwinąć.

Na czele banku narodowego w Texas stoi kobieta, która jest jednocześnie vice-przewodniczącą banku w Stanach Zjednoczonych. W Buffalo i St. Paul kobiety załatwiają wszystkie czynności posmiertne, od balsamowania ciała począwszy. Takiemu samemu zajęciu poświęcała się pewna kobieta w Chicago, a po dorobieniu się majątku, żyć poczęła z renty. W Maine jedna kobieta ma fabrykę lokomotyw; niektóre towarzystwa kolejowe na dróżników pomianowały kobiety, ponieważ uznano je za bardziej odpowiednie od mężczyzny.

W Chicago spełnia kobieta obowiązki inżyniera cywilnego; w Cincinnati kobieta jest urzędniczką celną, w Nowym Orleanie piastuje godność weterynarza.

W Kalifornii wiele kobiet posiada własne farmy, ogrody i winnice, które same zarządzają. W Texas wyborne interesy robi właścicielka handlu win, które dostarcza wyższej arystokracji.

Na najrozmaitszych polach pracy dorabiają się kobiety majątku, jeżeli szczęście im posłuży. Oczywiście, kronika nie notuje tych, co padają w walce, tylko zwraca uwagę na szczęśliwe jednostki, osiągnące cel zamierzony. Wiele z nich zdobywa sobie średni byt, zwłaszcza, jako komisjonerki.

Tak się przedstawia w treściwym zarysie położenie kobiety w Ameryce, która w rozwoju kwestyi niewieściej kroczy przed innymi częściami świata.

D.

Kronika działalności kobiecej.

— Ministerium komunikacji, zatwierdziło nowe taryfy na przewóz sera i masła, co otworzy pole szersze przemysłowi gospodarstwa kobiecego. Taryfy te są niższe o 10%, od dotychczasowych.

— Według tego co donoszą dzienniki petersburskie, odczytany ma być wkrótce w radzie państwa projekt ministra finansów o reformie wykształcenia handlowego, a mieścić się tam będzie paragraf, dotyczący szkoły handlowej dla kobiet.

— Warszawska rada miejska dobroczynności publicznej przyjęła z zachowaniem praw osób trzecich zapis 1,000, rs., uczyniony przez baronową Leonie Rastawickę na rzecz Biura informacyjnego nędzy wyjątkowej w Warszawie.

— Posiedzenie pań protektorek Towarzystwa opieki nad ubogimi matkami i ich dziećmi odbyło się pod przewodnictwem księżny Maryi z Drohojewskich Mieczysławowej Woronieckiej w lokalu Towarzystwa (Hoża, Nr. 70).

— W lokalu przy ulicy Pańskiej rozpoczęto wydawanie bezpłatne gorącej herbaty z pieczywem ubogim bez różnicy wyznania, a rzecz ta dobroczynna trwać będzie przez całą zimę. W rozdawnictwie tem przyjęła udział obok męża p. Aleksandra Wiederschal, oraz panna Zuzanna Tom. Fundusz na cel ten ofiarował p. Jan Bersohn.

— Zarząd War. Towarzystwa dobroczynności postanowił z powodu potrzeby rozszerzenia zakładu starców i kalek otworzyć oddział nowy przy ulicy Szezyglej pod Nr. 6 i 9, gdzie obecnie mieści się 80 ubogich. Dostarczenia funduszu na utrzymanie zakładu podjęły się obok opiekunów: księdza biskupa Ruszkiewicza i księdza E. Brzeziewicza, panie: Kazimierzowa z Górskich Sobańska, Józefowa Weissenhofowa, ks. Tadeuszowa Lubomirska, ks. Włodzimierzowa Czetwertyńska, Marya Zawiszyna, Julia Górka, Olimpia Blochowa, Julia Filipkowska, Paulina Kowalska, Helena Domaszewska i Klementyna Medekszyna. Zgromadzenie ogólne członków Towarzystwa zatwierdziło na wice-prezesową zakład Schronienia dla sług p. Katarzynę z Krenów Szwedową, p. p. Józefę Barylską i Aleksandrę Rybińską na opiekunki ochrony V-ej, p. Stanisławę Hildebrandt na opiekunkę ochrony 32, p. p. Helenę Krompole, Waleryę Marenne, Wandę Suligowską, Albertynę Bortkiewicz, Pelagię, Eugenię i Wandę Grzybowskie, oraz Matyldę Bevenssee na opiekunki sierot dziewcząt; p. Felicyę Rozenblum na opiekunkę zakładu ubogich dziewcząt przy ulicy Hożej, p. Radoszkowską na opiekunkę sierot chłopców w Drewnicy, hr. Krasińską Martę, na wice-prezesową zakład Schronienia ubogich szwaczek, p. Anielę Pągowską na główną opiekunkę tegoż zakładu; panie: Maryą z hr. Łubieńskich Górską, Leontynę Sianożenką i Annę Minejkową na członków zakładu Schronienia, których jest wraz z paniami 225 osób.

— Towarzystwo przeciw-żebracze pragnąc rozciągnąć opiekę nad chorem, szukającymi schronienia w przytułkach noclegowych, zajęło się urządzeniem ambulatoryów, mieszczących apteczki podręczne ze środkami leczniczymi i opatrunkowemi. Opiekunka, p. Marya Wrotnowska, zająwszy się zgromadzeniem potrzebnych na ten cel funduszy, dostarczała przez osoby miłosierne, a wszczególnie przez hr. Raczyńską Różę, doprowadziła rzecz do skutku i w przytułku noclegowym na Pradze ambulator funkcyjkuje już przez czas jakiś. Od d. 11-go stycznia do 1-go lutego udzielono pomocy lekar-

Z bieżącej chwili.

skiej 123 chorym wewnętrznym, 132 chorym chirurgicznym, a 12 chorych odesłano do szpitali. Drugie ambulatoryum jest już urządzone w przytułku przy ulicy Czerniakowskiej, dzięki ofiarności ks. Jerzowej Radziwiłłowej, opiekunki miejscowej, oraz opiekunki p. Łukowiczowej, a mieści się w osobnym na ten cel już wzniesionym budynku, gdzie znajduje się zarazem i apteczka. Spodziewać się można że w niedługim czasie i w innych przytułkach zorganizowaną będzie podobna opieka nad chorem, a jest to pole działalności kobiecej w jej znaczeniu najszlachetniejszym.

— W d. 12 bieżącego miesiąca doktorowa Pawińska przybyła do warsztatu p. Hiszpańskiego w towarzystwie prezesa kolonii letnich, D-ra Markiewicza, w celu podziękowania w imieniu komitetu kolonii, tak jemu jak i jego współpracownikom, p. p. A. Wesołowskiemu, W. Gancnerowi i S. Tarczyńskiemu za ich bezinteresownie podjętą pracę wygotowania obuwia dla słabowitej dziatwy, wysyłanej na wieś dla odetchnięcia świeżym powietrzem.

— W kasie wsparć, istniejącej przy Warszawskim towarzystwie lekarskim w celu pomocy udzielanej podupadłym, lub wiekiem znękanym lekarzom, polakom wyznania chrześcijańskiego, lub ich wdowom i sierotom zawakowało z zapisu D-ra Jana Bąckiewicza pięć wsparć po 90 rs., przeznaczonych dla wdów i sierot. Osoby, pragnące otrzymać wsparcia rzeczzone, potrzebują być przedstawione komitetowi przez jednego z jego członków wraz z podaniem na piśmie, objaśniającem szczegółowo o położeniu rodziny, jej wieku i środkach utrzymania. Bliższych szczegółów udziela interesowanemu kancelaryja Towarzystwa lekarskiego.

— Francuzka instytucja nagradzania cnoty przyznała nagrody pięciu paniom; pierwszą otrzymała Karolina Cahen z Paryża za szlachetne dzieła miłosierdzia, spełniane w cichości, następne wzięły panie: Ewa Thiercelin z Nicei, Marya Carcaisonne z Marsylii, dwie siostry Weil z Belfort i Karolina Charleville z Paryża.

— W Brukseli odbywa się co lat pięć konkurs ustanowiony przez państwo na powieści pisane w naryczku flamandzkiem, termin ten przypadł w roku bieżącym i nadesłano z dniem jego pierwszym dzieł kilkanaście a sędziowie potrzebowali odbyć jedenaście posiedzeń zanim przyznano nagrodę, którą wzięła młoda panna, Wirginia Loveling.

— W Zurychu w szkole weterynaryi studjuje pierwsza kobieta, współuczniowie przyjęli ją bardzo uprzejmie, za co dziękując, wypowiedziała, że postęp na tem polega, aby wszelkie kierunki wiedzy i pracy użytecznej rozszerzały się wśród ogółu.

— W Göttingen studyowało się na u iwersytecie szesnaście kobiet, jedna z nich, Angielka, miss Laura Chisholm, otrzymała stopień doktora matematyki. W bieżącym roku zarząd uniwersytetu ułożył specjalny program przedmiotów studyi kobiet, a to: historia kościelna i nauka biblij, pedagogika, historia starożytna, wieków średnich i nowych, literatura i pewne gałęzie nauk przyrodzonych.

— Związek kobiet niemieckich, liczący szesnaście osób podał do parlamentu petycją żądającą zmian pewnych w stosunkach majątkowych małżonków, a to aby żona miała najzupełniejsze prawo co do kontroli i zarządu majątku swojego. Odpowiedź jeszcze otrzymaną nie została, ale rokowania już się rozpoczęły.

— Donoszą z Petersburga jakoby istniał projekt rozciągnięcia pilnej kontroli nad wszystkimi towarzystwami dobroczynnymi w Państwie.

— Dzienniki petersburskie piszą, iż rada państwa przyjęła w całości projekt ministerium skarbu, dotyczący zasadniczych planów wykształcenia handlowego w Rossyi.

— Warszawskie Muzeum rzemiosł odbyło ogólne zebranie ofiarodawców i protektorów, któremu przewodniczył prezes muzeum p. Władysław Kiślański. Sprawozdanie wykazuje, iż liczba młodzieży płci obojej zwiększa się corocznie, co dowodzi, że rzemieślnik każdego fachu znajduje tu pole do wykształcenia się artystycznego. W salach rysunkowych uprawiany jest rysunek ręczny, techniczny i ornamentów. W maju i w czerwcu odbędzie się w salach muzeum przemysłu i rolnictwa wystawa umeblowań stylowych; na wezwanie przewodniczącego, zachęcającego do popierania celów instytucji i dania rzemieślnikom możliwości kształcenia smaku i doskonalenia się w rysunku, pospieszyli z ofiarami natychmiastowemi pp. Łapiński i M. Bersohn, którzy zadeklarowali złożyć dla Muzeum po rs. 100. Przy wyborach na miejsce usuwającego się p. Otwinowskiego wybrano ks. Michała Radziwiłła.

— W ciągu ubiegłego miesiąca wydano z funduszów Tow. Dobroczynności w kuchniach bezpłatnych, zostających pod kierunkiem opiekunów cyrkulowych, wydano: w kuchniach domu Podominikańskiego przy ulicy Freta 9,000, przy ul. Grzybowskiej 3,300, przy ul. Dzielnej 1,650, przy ul. Topiel 4,500, na Pradze 4,500 obiadów. W cyrkulach więcej oddalonych od rzeczonych kuchni zakupiono i rozdano biednym 12,000 bon na obiady bezpłatne w tanich kuchniach ludowych. W ciągu stycznia warszawskie Towarzystwo dobroczynności wydało razem 34,950 obiadów bezpłatnych.

— Członkowie Warszawskiej komisji szkolnej obradowali w lokalu Tow. ogrodniczego pod przewodnictwem prof. Władysława Połkotyckiego nad zagadnieniem, co należy przedsięwziąć dla rozwoju ogrodnictwa u nas. Pierwszym i nieodzownym warunkiem tegoż rozwoju jest zakładanie szkół specjalnych, ponieważ brak ogrodników należyście uzdolnionych jest wielki. Komisja po rozważeniu różnych wniosków, przedstawionych przez specjalistów, doszła do przekonania, że lubo istnieje szkoła rządowa średnia, powinny by powstać licznie szkoły niższe dla ogrodników-praktykantów, którzy są obecnie tylko robotnikami i bardzo niewielu z pośród nich może prowadzić samodzielnie ogród chociażby w najskromniejszym zakresie. Dyrektor Wojciech Górski wygłosił zdanie, że przy dzisiejszej dążności do parcelacji będzie towarzystwo takich coraz więcej i jest potrzeba nieodzowna, aby ekonom lub karbowy był zarazem ogrodnikiem. Dawniej łączono kucharstwo a nawet lokajstwo z ogrodnictwem, ale nie dawało to skutków dobrych. Postanowiono też następnie opracować program szkoły średniej takiej jaka na przykład istnieje w Częstochowie.

— Redakcyja „Wędrowca“ zajęła się opracowaniem i wydaniem albumu artystycznego, pod tytułem „Częstochowa“. Album zawierać ma kilkadziesiąt reprodukcji dużego formatu widoków i podobizny pamiątek, oraz zabytków, mieszczących się w klasztorze Jasnogórskim.

— W dniu 24 lutego zarząd dóbr skarbowych wystawi na sprzedaż przez licytacyę ruiny staroży-

tnego zamku w miasteczku Bodzentynie wraz z pięciu morgami gruntu. Licytacya rozpocznie się od 5,000 rs. i przypuszczać trzeba, że znajdzie się ktoś z pośród osób zamożnych, który zapragnie ocalić od zagłady starożytną pamiątkę przeszłości.

— Do dwóch kościołów dyecezyi kujawsko-kaliskiej zamówiono w Kielcach w szlifiarni marmurów dwa ołtarze w stylu gotyckim.

— Gmach muzeum w Toruniu zostanie niewątpliwie sprzedany, jeżeli nie otrzyma odpowiedniego poparcia, a jest to przecież ognisko naszego tu życia. Mieści się w nim piękna sala dla zebrań licznych, sala muzealna, biblioteka, dwie sale pomniejsze i numera hotelowe. Choć sala nie jest dość obszerna i bynajmniej nie elegancko opatrzona, odbywały się w niej dawniej wszystkie zebrania towarzyskie i posejmikowe, ale usunęły się te sfery, które przewodniczyć tu powinny, a następnie i stowarzyszenia polskie; myślano nawet o sprzedaży gmachu, który przecież jest jedynym w Toruniu miejscem zgromadzeń się naszych, a w które społeczeństwo włożyło około 40,000 marek.

MYŚLI.

— Mali i wielcy tego świata spotykają się z temi samemi wypadkami losu, z temi samemi próbami życia. Namiętności mają też jednakowe, ale gdy jedni są w górze, drudzy na dole koła fortuny i dla tego to ruch rozpędowy mniej wstrząsa tych ostatnich.

Paskal.

— Aby sądy i czyny nasze łączyły się z interesem ogółu, potrzeba, aby własne nasze myśli i pragnienia zespoliły się z tym ogółem.

Helvetius.

— Chcąc poznać życie do gruntu, trzeba się od życia czynnego oderwać i stając na uboczu badać je w złych i dobrych jego momentach.

Feurbach.

— Nie bądź nigdy tak bogaty umysłem, abys się stał ubogi sercem.

Maklbaer.

— Ci, którzy się oddają z przejęciem wielkiem rzeczom małym, stają się zwykle niezdołnemi już do wielkich.

Shakespeare.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: powieść **Czy to miłość?** przez Franka Frankfort Moore'a. Przekład z angielskiego, t. II, ark. 7.

TREŚĆ: W majestacie śmierci, przez Antoniego Pileckiego. — Kędy droga. Powieść współczesna, przez Wandę Grot-Bęczkowską (dalszy ciąg). — Przegląd teatralny, przez M. Gawalewicza. — Przegląd piśmienniczy, przez M. I. — Z Ameryki. — Echo z Berlina przez M. W. — Położenie kobiety w Ameryce. — Kronika działalności kobiecej. — Z bieżącej chwili. — Myśli.

Dodatek obejmuje: Czy to miłość? powieść przez Franka Frankfort Moore'a przekład z angielskiego tomu II-go, ark. 7. Przegląd mód. 51 wzorów i robót z epsem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycya stołu.